

KSIĘŻYCOWE MOCZARY



Nie wiem w jakiej części tej odległej i przerażającej krainy zniknął Denys Barry. Byłem z nim ostatniej nocy, gdy znajdował się wśród żywych i słyszałem wrzask, kiedy przyszła po niego ta Istota. Żaden z wieśniaków i policjantów z hrabstwa Meath nie zdołał go odnaleźć, mimo iż poszukiwania zakrojone były na szeroką skalę. Teraz zaś wzdrygam się słysząc kumkanie żab na moczarach, albo gdy widzę księżyc przebywając w samotnych, odludnych miejscach.

Doskonale znałem Denysa Barry'ego jeszcze w Ameryce, gdzie się wzbogacił i pogratulowałem mu, kiedy wykupił stare zamczysko nad moczarami w sennym Kilderry. Stamtąd właśnie pochodził jego ojciec i tam też Denys pragnął radować się swym bogactwem w rodzinnych stronach, niegdyś w Kilderry rządili jego przodkowie i to oni wzniesli zamczysko, w którym później zamieszkali, niemniej były to bardzo odległe czasy i przez wiele pokoleń opuszczony zamek popadł w ruinę. Po wyjeździe do Irlandii Barry często do mnie pisywał opowiadając, jak pod jego opieką szary zamek, wieża po wieży, odzyskiwał dawny splendor, jak bluszcz pięł się z wolna w górę po odrestaurowanych ścianach, niczym przed setkami lat i jak wieśniacy dziękowali mu, że za przywiezione z za morza złoto ożywił pamięć dawnych dni. Potem jednak coś się wydarzyło i wieśniacy opuścili Kilderry, uciekając niby przed zarazą. Jakiś czas później przysłał mi list i poprosił bym do niego przyjechał, gdyż czuł się w zamku samotny nie mając nikogo, z kim mógłby porozmawiać za wyjątkiem nowych służących i robotników, sprowadzonych z Północy.

Powodem wszystkich jego kłopotów były moczary - o czym Barry poinformował mnie tej samej nocy, kiedy zjawiłem się w zamku. Dotarłem do Kilderry o zmierzchu pewnego letniego dnia, gdy złocisty blask bijący z nieba omiatał wzgórza, gaje i błękitną połąć bagien, gdzie w oddali, na niewielkiej wysepce migotały widmowo dziwaczne, stare ruiny. Zachód słońca był zaiste urzekający, ale wieśniacy z Ballylough nie omieszkali mnie przed nim ostrzec i stwierdzili, że Kilderry zostało przeklęte, ja zaś prawie zadrzałem na widok pałających złocistym ogniem wież zamczyska. Automobil Barry'ego czekał na mnie na stacji Ballylough, gdyż Kilderry znajduje się w pewnym oddaleniu od linii kolejowej. Wieśniacy, którzy trzymali się z dala od auta i kierowcy z Północy, pobledli na twarzach usłyszawszy, że wybieram się do Kilderry i uraczyli mnie kilkoma trwożliwie wyszeptanymi informacjami. Tej nocy zaś, Barry wyjaśnił mi całą sytuację.

Wieśniacy opuścili Kilderry ponieważ Denys Barry zamierzał osuszyć wielkie trzęsawisko. Pomimo miłości jaką darzył Irlandię, pobyt w Stanach wycisnął na nim swe piętno i Denys nienawidził owej wspaniałej, bezużytecznej przestrzeni, z której można by wybrać warstwę torfu i przystosować cały ten teren pod uprawy.

Legandy i przesady Kilderry nie wywarły na nim najmniejszego wrażenia i kwitował śmiechem, gdy wieśniacy najpierw odmówili mu pomocy, a następnie przeklęli go i, przekonani iż nic nie zdoła zmienić jego decyzji, zabrawszy swoje rzeczy, wynieśli się do Ballylough. Zastąpił ich robotnikami z Północy, a gdy opuścili go służący, sprowadził z Północy następnych. Czuł się jednak samotny wśród obcych, dlatego poprosił abym go odwiedził.

Kiedy usłyszałem o lękach, które były przyczyną tego exodusu, śmiałem się równie głośno jak mój przyjaciel, gdyż były to obawy niejasnego, dzikiego a nawet absurdalnego wręcz charakteru. Miały coś wspólnego z jakąś niedorzeczną legendą dotyczącą moczarów i strzegącego ich posępnego ducha, zamieszkującego w dziwnych, starych ruinach na odległej wysepce, którą dostrzegłem o zachodzie słońca.

Krążyły tu historie o światłach tańczących przy blasku księżycy i chłodnych wiatrach wiejących w ciepłe noce; o widmach w bieli, unoszących się nad wodami i o domnieranym kamiennym mieście, znajdującym się głęboko pod powierzchnią bagna. Wszyscy jednak zgodnie twierdzili - i nie mieli co do tego najmniejszych wątpliwości - że na tego, kto ośmieli się tknąć lub osuszyć rozległą połąć czerwonych moczarów, spadnie okrutna kłątwa.

Są tam sekrety, twierdzili wieśniacy, których nie należy ujawniać, tajemnice ukryte odkąd zaraza spadła na dzieci Partholanu w bajecznych latach, niepamiętnej już dziś, przeszłości. W Księdze Najeźdźców powiedziane jest, że owych synów Grecji pogrzebano w Tallaght, ale starcy z Kilderry twierdzą, że jedno z miast zostało ocalone dzięki jego patronce - bogini Księżycy, ukryte w samym sercu zalesionego pagórka, kiedy Nemedycjycy przybyli ze Scytii do brzegów tej krainy na pokładach trzydziestu okrętów.

Takie to historie skłoniły wieśniaków do opuszczenia Kilderry i gdy je usłyszałem, nie zdziwiło mnie, iż Denys Barry nie chciał ich wysłuchać. Interesował się o starożytnością i zamierzał dokładnie zbadać bagnisko, kiedy zostanie należycie osuszone. Często odwiedzał białe ruiny na wysepce, ale choć niewątpliwie bardzo wiekowe i nie przypominające żadnych innych tego typu budowli w całej Irlandii, były one zbyt zniszczone, aby mogły powiedzieć coś więcej na temat czasów swojej świetności.

Niebawem miano rozpocząć proces osuszania moczarów, a robotnicy z Północy czekali na rozkaz, by zacząć zdejmować z zakazanych trzęsawisk warstwę mchu i czerwonych wrzosów oraz, by zlikwidować, jeden po drugim, cienkie jak wstążki strumyki i ciche, błękitne sadzawki porośnięte sitowiem.

Kiedy Barry zakończył swą opowieść byłem już bardzo śpiący, gdyż całodzienna podróż nader mnie wyczerpała, a mój gospodarz snuł swój monolog do późnej nocy. Służący wskazał mi pokój, który znajdował się w odległej wieży, z widokiem na wioskę, równinę na skraju trzęsawiska i na same moczary - z mego okna widziałem błyszczące w księżycowym blasku dachy milczących chat, z których uciekli wieśniacy i gdzie zamieszkali obecnie nowi robotnicy; jak również kościółek parafialny z antyczną iglicą. Daleko, na niewielkiej wysepce po drugiej stronie bagien, widniały prastare, zapuszczone mury - zdające się emanować białym widmowym światłem.

Położyłem się i już miałem usnąć, gdy odniosłem wrażenie, że słyszę dochodzące z oddali słabe dźwięki; odgłosy dzikie i na wpół harmonijne, które przepełniły mnie osobliwym podnieceniem i przydały barw mym snom. Kiedy jednak obudziłem się następnego ranka stwierdziłem, że wszystko musiało mi się przyśnić, bowiem wizje jakich doznałem były cudowniejsze aniżeli jakiegokolwiek szaleńcze dźwięki fletów, rozlegające się wśród nocy. Pod wpływem legend przekazanych przez Barry'ego, umysł mój stworzył obraz majestatycznego miasta położonego w zielonej dolinie, a marmurowe ulice, posągi, wille, świątynie, płaskorzeźby oraz inskrypcje zdawały się świadczyć, iż była to Grecja. Kiedy opowiedziałem o moim śnie Barry'emu obaj się roześmialiśmy - ja głośniejsz, ponieważ on martwił się o swoich robotników. Po raz szósty z rzędu zaspali, budzili się wolno - oszołomieni - zachowując się jakby przez całą noc nie zmrúzyli oka.

Tego ranka i popołudnia wędrowałem samotnie przez skąpaną w słonecznym blasku wioskę i rozmawiałem z napotkanymi przygodnie robotnikami - Barry bowiem zajęty był ostatecznym opracowywaniem planów przed rozpoczęciem osuszania bagien. Robotnicy nie byli tak szczęśliwi, jak można by się tego spodziewać, a większość z nich sprawiała wrażenie zaniepokojonych snami, które na próżno usiłowali sobie przypomnieć. Opowiedziałem im o moim śnie, ale nie zainteresował ich dopóki nie wspominałem o wymyślonych wrażeniach słuchowych. Spojrzeli na mnie dość dziwnie i potwierdzili, że im również wydawało się, iż słyszą jakieś dźwięki.

Wieczorem Barry zjadł ze mną wieczerzę i oświadczył, że za dwa dni rozpocznie osuszanie. Jego słowa podniosły mnie na duchu, bo choć trudno mi było pogodzić się z myślą, iż pokrywające moczary mech i wrzosy oraz błyszczące jeziora i strumyki będą musiały zniknąć, coraz bardziej narastało we mnie pragnienie odkrycia prastarych sekretów, niewątpliwie skrytych pod grubą warstwą torfu. Tej nocy moje sny o grających fletach i marmurowych perystylach zakończyły się w nader gwałtowny i niepokojący sposób; zobaczyłem bowiem jak na miasto w dolinie spada zaraza, potem zaś - przerażająca wizja - trupy spoczywające na ulicach. Nie pogrzebana pozostała jedynie świątynia Artemidy, znajdująca się na najwyższym ze szczytów, gdzie stara kapłanka, bogini Księżycy, Cleis leżała martwa w koronie z kości słoniowej.

Powiedziałem już, że obudziłem się gwałtownie i nagle. Przez jakiś czas nie byłem w stanie odróżnić jawy od snu, gdyż wciąż miałem w uszach przenikliwe dźwięki fletów; kiedy wszakże zobaczyłem podłogę komnaty skąpaną w księżycowym blasku i zarys gotyckiego okna, stwierdziłem, iż powróciłem do świata jawy i znów znajduję się w Kilderry. Później usłyszałem jak zegar na dole wybija drugą i upewniłem się, że to jawa. Mimo to, wciąż słyszałem dochodzące z oddali dźwięki fletów; dzikie, osobliwe tony, które przewodziły mi na myśl tańce faunów na zboczach odległego Maenalus. Nie dawały mi zasnąć i wyczerpany wyskoczyłem z łóżka. Zupełnie przypadkiem podszedłem do północnego okna i spojrzałem w kierunku cichej wioski i równiny na skraju bagien. Nie miałem ochoty się rozglądać - chciałem jedynie zasnąć - jednak dźwięki fletów nie dawały mi spokoju i musiałem coś zrobić, albo coś zobaczyć. Skąd mogłem przypuszczać jaki widok ujrzą moje oczy?

W blasku księżycy zalewającym całą rozległą równinę, rozgrywał się spektakl. Przy dźwiękach trzcinowych piszczałek, które roznosiły się gromkim echem ponad całym trzęsawiskiem przesuwali się tamtędy bezgłośnie i osobliwy korowód różnorodnych, kołyszących się i płasających rażno postaci. Pograżone w spontanicznym, szaleńczym uniesieniu mogły przypominać Sycylijczyków, którzy w dawnych czasach tańczyli przy blasku księżycy, oddając w ten sposób cześć bogini Demeter. Rozległa równina, złocisty blask księżycy, cieniste, poruszające się postaci, a przede wszystkim monotonna, przenikliwy dźwięk piszczałek - wszystko to wywarło na

mnie paraliżujące wręcz wrażenie. Pomimo tego zdołałem stwierdzić, iż połowę spośród tych niestrudzonych, mechanicznych tancerzy stanowili robotnicy, o których sądziłem, że spali. Pozostałymi uczestnikami korowodu były dziwne, mgliste istoty w bieli, na wpół materialne, ale sugestywnie blade, smętne najady z nawiedzonych źródeł wytryskających na trzęsawisku. Nie wiem jak długo obserwowałem tę scenę z okna komnaty na szczycie wieży, zanim nie pogrążyłem się w dziwnej, mrocznej, pozbawionej snów nieświadomości, z której wyrwały mnie dopiero ciepłe, złociste promienie porannego słońca.

W pierwszej chwili po przebudzeniu miałem ochotę podzielić się mymi obserwacjami i obawami z Denysiem Barry'ym, lecz kiedy zobaczyłem promienie słońca przenikające przez kratowane wschodnie okno, nabrałem pewności, że wszystko to wydawało mi się. Miewam różne dziwne wizje, jednakże nie jestem na tyle słaby, aby w nie wierzyć - w tym zaś przypadku zadowolilem się jedynie wypytaniem kilku spośród robotników, którzy spali do bardzo późna i z poprzedniej nocy nie pamiętali nic, prócz mglistych snów o przeciągłych i piskliwych dźwiękach. Sprawa widmowej muzyki wielce mnie niepokoiła i zastanawiałem się czy nie złożyć tego na karb jesiennych świerszczy, które tego roku pojawiły się wcześniej i swoim graniem zakłócały nocną ciszę oraz spokojny sen robotników.

Później - tego dnia - obserwując Barry'ego w bibliotece, jak pochyła się nad planami wielkiego dzieła, mającego rozpocząć się już nazajutrz, po raz pierwszy poczułem owo dziwne, nieuchwytne tchnienie grozy, które nakazało wieśniakom, by opuścili to miejsce. Z jakiegoś niewiadomego powodu poczęła napawać mnie lękiem myśl o zakłóceniu spokoju prastarego trzęsawiska i jego mrocznych tajemnic; wyobraziłem sobie jednocześnie okropny widok spoczywających pośród czerni, ukrytych głęboko w niezgłębionej otchłani moczarów, pod grubą warstwą prastarego torfu - szkieletów. Wydobyte owych na światło dzienne wydawało się zgoła nieroztropne i zacząłem szukać jakiejś wymówki, by móc opuścić zamek i wioskę. Posunąłem się nawet do tego, by porozmawiać z Barry'ym, ale kiedy mnie wyśmiał, nie podjąłem więcej przerwane go tematu. Milczałem więc, kiedy nad odległymi wzgórzami leniwie zaczęło zachodzić słońce, a całe Kilderry skąpały, zdawałoby się, złowrogie potoki złotawo-czerwonego, ognistego blasku.

Nigdy nie będę mógł powiedzieć, czy wypadki tej nocy miały miejsce naprawdę, czy też były jedynie ułudą. Z całą pewnością przewyższają wszystko, co jesteśmy w stanie wyjaśnić, a co związane jest z naturą wszechświata. W żaden bowiem normalny sposób nie potrafię wytłumaczyć tajemniczych zaginięć, które stwierdzono, kiedy było już po wszystkim.

Położyłem się na spoczynek wcześniej i - pełen niepokoju - nie byłem w stanie przez długi czas zasnąć w nieziemskiej, złowrogiej ciszy panującej w wieży. Było dziwnie ciemno, choć niebo było czyste, jednak księżyc świecił bardzo słabo i miało tak być aż do późnych godzin nocnych. Leżąc w łóżku rozmyślałem o Denysie Barry'ym i o tym, co wydarzy się na trzęsawisku, kiedy nadejdzie dzień, a jednocześnie ogarnęło mnie szaleńcze wręcz pragnienie, aby wybiec w noc, wziąć wóz Barry'ego i jak najszybciej opuściwszy te złowrogie ziemie, udać się do Ballylough. Zanim jednak zdołałem wprowadzić swe zamierzenia w c/yn, usnąłem i we śnie znów ujrzałem miasto w dolinie, zimne i martwe, otulone całunem upiornych cieni.

Prawdopodobnie obudziły mnie ochryple dźwięki fletów, ale to nie one przykuły mą uwagę, kiedy otworzyłem oczy. Leżałem odwrócony plecami w stronę wschodniego okna wychodzącego na trzęsawisko, nad którym wisiał blade księżyc, toteż spodziewałem się, że na ścianie przede mną zobacze światło; to co ujrzały moje oczy przeszło jednak wszelkie oczekiwania. Ściana na wprost rzeczywiście skąpana była w blasku, ale bez wątplenia nie płynął on z księżyca. Czerwona poświata przepływająca przez kratowane gotyckie okno i omiatająca całą komnatę była niewiarygodnie, upiornie wręcz intensywna.

Moje poczynania w tej sytuacji mogły wydawać się dość osobliwe, ale jedynie w książkach bohater jest w stanie postępować w dramatyczny i przewidywalny sposób. Zamiast spojrzeć na drugi koniec moczarów w kierunku źródła nowego światła, ogarnięty paniczną zgrozą odwróciłem głowę od okna i niezdarnie się ubrałem, powodowany dojmującym pragnieniem ucieczki. Pamiętam, że zabrałem swój rewolwer i kapelusz, ale zanim całe zdarzenie dobiegło końca porzuciłem je, nie nałożony kapelusz, ani nie oddawszy jednego choćby strzału. Po pewnym czasie uczucie fascynacji czerwoną poświatą przemogło mój strach i podkradłszy się do wschodniego okna wyrzuciłem na zewnątrz, podczas gdy przyprawiające o utratę zmysłów, nieprzerwane dźwięki fletów rozchodziły się szerokim echem ponad wioską, docierając do najdalszych nawet zakamarków starego zamczyska.

Połąć trzęsawiska rozplamiona była feerią ognistego światła, szkarłatnego i złowieszczonego, bijącego z dziwnych, prastarych ruin na odległej wysepce. Nie potrafię opisać aspektu owych ruin - musiałem chyba postradać zmysły - bowiem odniosłem wrażenie, iż wznoszą się one doskonale, majestatyczne i nienaruszone, nietknięte zębem czasu, okolone smukłymi kolumnami. Marmurowe belkowania, w których odbijał się płomienisty blask strzelały w niebo, niczym iglica świątyni stojącej na szczycie wysokiej góry. Flety zawodziły, niebawem zawtórowały im bębny i gdy tak patrzyłem sparaliżowany, wydawało mi się, że dostrzegam mroczne płaszące postaci odbijające się groteskowo na tle czerwonych promieni marmurów. Efekt był tytaniczny, aczkolwiek niewyobrażalny -i mógłbym przyglądać mu się bez końca, gdyby po mojej lewej stronie nie rozległ się nagle przybierający na sile dźwięk piszczałek. Przełamując przerażenie mieszające się przedziwnie z ekstazą, przeszedłem przez owalny pokój do północnego okna, z którego roztaczał się widok na wioskę i równinę na skraju trzęsawiska. Moje oczy ponownie się rozszerzyły w wyrazie szaleńczego zdumienia, jak gdybym zaledwie przed chwilą nie oglądał niezwykłych i nadnaturalnych scen. Skąpaną w upiornym krwistym blasku równiną podążał korowód istot, jakich nigdy dotąd nie miałem okazji oglądać, z wyjątkiem najgorszych koszmarów sennych. Na wpół ślizgające się, na wpół unoszące się w powietrzu, odziane w biel bagienne widma wycofywały się z wolna w kierunku nieruchomych wód i wyspy z ruinami, ustawione w szyku zdającym się sugerować układ jakiegoś

prastarego, poważnego tańca rytualnego. Ich na wpeł przezroczyście ręce, kołyszące się w rytm nie cichnącego dźwięku fletów, przywoływały w niesamowity sposób tłum ślaniających się robotników, którzy podążali za nimi jak psy, wolno, sennie, bezmyślnie, powłócząc nogami, jak gdyby przyciągani jakąś nieodpartą demoniczną mocą. Gdy najady zbliżyły się do moczarów nie zmieniając kierunku marszu, nowy szereg sunących ociężale, zataczających się jak pijani mężczyźni, opuścił zamczysko wyjściem, które musiało znajdować się mniej więcej poniżej mego okna, po czym przemierzył na ukos dziedziniec i dołączył do wlokącej się kolumny robotników z Północy, gdyż wzrok mój przykuła charakterystyczna, brzydka i nieforemna sylwetka kucharza, której absurdalność stała się teraz uderzająco tragiczna. Piszczalki zamilkły, od strony ruin ponownie dobiegł odgłos bębnow. Potem zgoła bezgłośnie i z gracją, najady dotarły do wody i jedna po drugiej wtopiły się w prastare trzęsawisko; podążający ich śladem robotnicy, nawet na chwilę nie zwalniając tempa marszu, wkroczyli w mętne fale i jedynym śladem określającym miejsce ich zniknięcia była niewielka chmura niezdrowych bąbelków, które z trudem mogłem dostrzec w blasku szkarłatnego światła. Kiedy tłusty kucharz, ostatni patetyczny uczestnik tego upiornego korowodu, znikł pośród szarawej, cuchnącej toni bagniska, dźwięk umilkł, a oślepiające czerwone promienie płynące z ruin zgasty nieoczekiwanie, pozostawiając wioskę samotną i opuszczoną, skapaną w słabym świetle księżyca. Mój stan wówczas określić można jedynie jako nieopisany chaos. Nie wiedząc czy postradałem zmysły czy też byłem normalny, śniłem czy też może przebywałem w świecie jawy, popadłem w litościwe odrętwienie. Wydaje mi się, że robiłem zgoła niedorzeczne rzeczy, zanosłem modły do Artemidy, Latony, Demeter, Persefony i Plutona. Wszystko, co sobie przypominałem z klasycznej edukacji, trafiało na me usta, w miarę jak groza sytuacji pobudzała tkwiące głęboko w moim sercu przesady. Czułem, że byłem świadkiem śmierci całej wioski i wiedziałem, że zostałem w zamku sam, jedynie z Denysem Barry'ym, którego śmiałość i duma były przyczyną tragedii. Kiedy go wspomniałem, nowa groza przyprawiła mnie o atak konwulsji i runąłem na podłogę. Nie zemdlałem, ale fizycznie byłem zupełnie bezradny. Potem zaś poczułem lodowaty podmuch od strony okna, w którym świecił teraz błądź księżyc i usłyszałem krzyki dobiegające z dolnej części zamczyska. Niebawem wrzaski przybrały na sile, a ich brzmienie i tego co w sobie zawierały wręcz nie sposób było opisać. Kiedy o nich myślę, ogarnia mnie fala niewypowiedzianej słabości. Jedyne, co mogę powiedzieć to to, iż wydawał je ktoś, kogo uważałem za swego przyjaciela.

W którymś momencie owego przerażającego, wstrząsającego epizodu, zimny wiatr i hałas musiały mnie zmusić do działania, gdyż następną rzeczą jaką pamiętam jest szaleńczy bieg przez atramentowo-czarne pokoje i korytarze. Jak oszalały wybiegłem w upiorną posępną noc i przebiegłem przez dziedziniec...

Znaleźli mnie o świecie, krążącego bez zmysłów niedaleko Ballylough, ale z równowagi nie wytrączyły mnie bynajmniej koszmary jakie zobaczyłem, czy usłyszałem wcześniej. Mamrotałem pod nosem o dwóch fantastycznych zdarzeniach jakie miały miejsce podczas mojej ucieczki - incydentach zgoła bez znaczenia w całej sprawie, które jednak w dalszym ciągu nie dają mi spokoju i dręczą czasami, gdy przebywam sam, na posępnych, pustych trzęsawiskach, skąpanych w blasku księżyca.

Kiedy wybiegłem z przeklętego zamku i gnałem co sił w nogach wzdłuż skraju moczarów dobiegł mnie nagle zupełnie nowy dźwięk: pospolity, aczkolwiek nigdy dotąd, będąc w Kilderry, nie miałem okazji go słyszeć.

Stojące wody moczarów, w których ostatnimi czasy nie było żadnych zwierząt, były aż czarne od hord oślizłych, ogromnych ropuch, które rechotały ochryple i, co mogło wydawać się niemożliwe czy wręcz nieprawdopodobne, zdawały się - nieprzerwanie. Ich obrzmiałe, śliskie ciała zieleniły się w blasku księżyca, a ropuchy zdawały się spoglądać w górę, w kierunku źródła światła. Podążyłem za spojrzeniem jednej wyjątkowo dużej i odrażająco szpetnej ropuchy; to była druga rzecz, która odjęła mi zmysły.

Dostrzegłem mianowicie ślad promienia - słabego, falującego światła - ciągnącego się od dziwacznych, prastarych ruin na odległej maleńkiej wyspie do zawieszzonego na atramentowo-czarnym niebie bladego, posępnego księżyca. Co więcej, światło to nie odbijało się w wodach trzęsawiska. W górze zaś, na tle blednącej smugi widmowego blasku moja rozgorączkowana wyobraźnia zarejestrowała cienki, wijący się wolno cień; mglisty, zdeformowany, skręcający się i szamoczący, jakby ciągnęły go niewidzialne demony.

Pomimo, iż u kresu wytrzymałości i bliski utraty zmysłów, zdołałem jeszcze wychwycić w owym upiornym cieniu monstrualne podobieństwo. W przyprawiający o mdłości, niewiarygodny, karykaturalny, a nawet wręcz bluźnierczy sposób przypominał on człowieka, którego znałem pod nazwiskiem Denysa Barry'ego.

Autor: Howard Philips Lovecraft

[Początek]